ROK DRUGI.

—

№ 23.

Warszawa

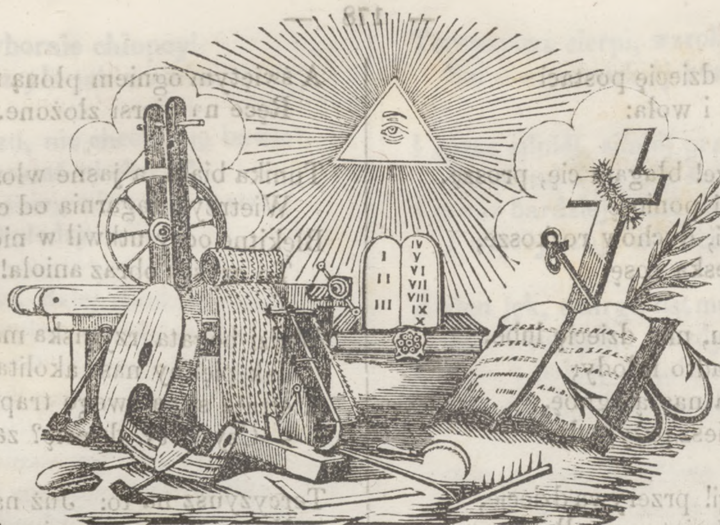
Dnia 26 maja

(7 czerwa)

1857.

Niedziela

Śéj TROJCY.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Szukaj pokoju nie na ziemi, lecz w Niebie, nie w ludziach, ani innych stworzeniach, lecz w Bogu jedynie. (O naśl. Chr. K. 3. R. 35.)

Akolita (1) Tercyzyusz

MŁODY MĘCZENNIK.

—

Tyrana wyrok już ogłoszony!
Już kat gotuje tortury;
Pragnie krwi świętéj zwierz rozjuszony,
Prawdziwy potwór natury!

Sroższy nad same lwy i lamparty,
Krwawszy od hyen, tygrysa,
Krwi, ach krwi! woła motłoch rozżarty:
Niechaj ją wzrok nasz wysysa!

Krwi Chrześciańskiéj, och! straszne hasło
Grzmi jak piorunny grom burzy;
Krwi! w całéj Rzymskiéj krainie wrzasło,
A echo odgłos ten wtórzy.

Wszystko wzburzone, jakby na wojnę
W szalonym wściekłym jest stanie—
Ale są dusze ciche, spokojne,
Dusze te, to Chrześcianie.

Daleka od nich śmierci jest trwoga,
Słodko umierać za wiarę;
Więc o męczeństwo proszą u Boga,
By z siebie nieść Mu ofiarę.

Ale przed śmiercią, by skrzepić męztwo,
Pragną posilić się chlebem,
Który każdego słodzi męczeństwo,
I brata każdego z Niebem.

Już zgromadzeni w podziemiach świętych
Pobożne hymny śpiewają,
I w świętych modłach dawno poczętych
Na chleb Anielski czekają.

Tymczasem kapłan w świętéj ofierze
Pokonsekrował Chleb Boży;
Lecz do katakumb (2) kto go zabierze?
O to się troszczy i trwoży.

—I któż wiatyk poniesie braci?
Tak do przytomnych rzekł koła,

(1) Akolita znaczy sługa kościelny, roznoszący światło, chleb i wino w kościele.

(2) Podziemia, w których pierwsi chrześcianie ukrywali się od prześladowań.

A wtem anielskiej dziecię postaci
Wybiega, klęka i woła:

—To ja, mój Ojcze! błagam cię, proszę,
Ja wiernej braci poniosę
Ten chleb Anielski, duchów rozkosze,
Tę świętą niebieską rosę.

—Nie Tercyzyuszu, nie, dziecię lube,
Tyś młody, zanadto młody;
Poganin czyha na naszą zgubę,
Słaby, nie ujdziesz przygody.

—Ach Ojcze drogi! przerywa dziecię,
Powierz skarb święty méj dłoni,
Za nic nikomu nie dam go w świecie;
Młodość mnie moja obroni.

I gdy to mówi, wyciąga dłonie,
Unosi w niebo swéj trwarzy,
I twarz mu blaskiem niebieskim płonie,
Ogniem miłości się żarzy.

Zrenica oka jego błękitna
Łzą niemej prośby się zrasza,
I cała postać skromna a szczytna
Łaski się tylko doprasza.

Na raz się serce kapłana kruszy,
Rzewność łzę z oka wytrąca;
O! bo któż zdoła oprzeć się duszy,
W której tak miłość gorąca?

I Dyonizy już się nie droży,
Choć z tęskną myślą, a smutną,
Pokarm anielski, święty chléb Boży
W śnieżyste obwija płótno.

Potem materją okręca litą,
Na piersi młodzieńca składa,
Znaczy krzyż święty nad akolitą,
I te słów kilka powiada:

— Pilnuj najdroższy skarb ci zlecony,
Strzeż go i szanuj me dziecię.
Na to Tercyzyusz rzekł zachwycony:
—Oddam za niego me życie.

Powstaje, spieszy w Rzymu ulice,
Gdzie są podziemia w tę stronę,
A świętym ogniem płoną mu lice,
Ręce na piersi złożone.

Tunika biała, a jasne włosy
Wietrzyk zagarnia od czoła,
Błękitne oczy utkwił w niebiosy;
To czysty obraz anioła!

Widzi bogata rzymska matrona,
Jak piękny nasz akolita,
A stratą syna swego trapiona,
—Czyjeś ty dziecię? zapyta.

Tercyzyusz na to: Już na tym świecie
Nie mam ni ojca, ni matki.
Na to matrona: Chodź moje dziecię,
Bądź moim synem, i dziel dostatki.

—To później o tem, Tercyzyusz powie,
A teraz żegnam cię pani;
Bo jedna chwilka wiele stanowi,
A zwłoka serce mi rani.

—Idź więc me dziecię, niech cię nie smucę,
Idź, ale powróć tu jeszcze.
—Dobrze, jeżeli żywy powrócę,
Rzekł, a w nim przeczucie wieszcze.

I spieszy dalej Tercyzyusz młody,
Matrona ściga go wzrokiem,
Nareszcie dziecię pięknej urody
Przed tęsknem ginie jéj okiem.

Więc za niem w ślady matrona bieży,
Przeczucie trwoży ją krwawe,
A ona smutnym przeczuciom wierzy,
Więc chce ukoić obawę.

Tymczasem młody poseł przechodzi
Przez plac obszerny, szeroki,
A tutaj igra pogańska młodzi,
Sprawia gonitwy i skoki.

To jego szkolni koledzy stoją,
Psotni, rozpustni, swawolni;
Chce ich ominąć, kryje twarz swoją,
Myśląc, że tak się uwolni.

Wtem, stój! zawoła głos mu nieobcy,
Właśnie jednego nam trzeba;

O! doskonale, wybornie chłopcy!
Jowisz (3) go zsyła jak z nieba.

—Co Tercyzyuszu, nie chcesz się bawić?
Nie chcesz pozostać ni chwili?
—To później, później; nie mogę bawić,
Puśćcie mnie koledzy mili.

—Nie! teraz zaraz, dalej chodź z nami!
Lecz co tak kryjesz me dziecię?
Może gdzie spiesznie idziesz z listami?
One nie zginą ci przecie!

Daj to je schowam— nie dam ci wcale.
—Czy dajesz? groźnie żak wrzaśnie;
—Nie, nigdy, odrzekł Tercyzyusz stale,
Pierw życie moje zagaśnie!

—Oddasz, natrętnik gwałtownie woła,
I z całą siłą naciera;
Próżno, rąk jego podnieść nie zdoła,
Moc jakaś siłę odbiera.

W zamian, o cudo! Tercyzyusz mały
Co drżał od lada powiewu,
Stoi, do trwardej podobny skały,
Bez płaczu, żalu, bez gniewu.

—Co to jest? każdy, zdumiony pyta,
Czego cudownie tak broni,
I zkąd w nim taka moc nieprzebita,
Że podnieść nie można dłoni?

Nie widzą słabi, że Bóg jest przy nim,
A przeciw Jego prawicy
Drobne robaczki i cóż uczynim,
I cóż uczynią nędznicy?

Coraz się więcéj zbiega dokoła,
Tłumy, jak fale wzrastały,
A wtem ktoś dziko z boku zawoła:
—To Chrześcianin, ten mały!

Jak lew, gdy go kto boleśnie drasnął,
Ryknie, a potem uderza,
Tak na to hasło, tłum wściekle wrzasnął
I groty śmierci wymierza.

Sypią się pięście, kułaki ciosy,
To w pierś, to w głowę, to skronie;
Tercyzyusz cierpi, wzrok wzniół w niebiosy,
Sni o męczeńskiéj koronie.

I coraz silniéj, silniéj przyciska,
Do piersi Świętość świętości,
I coraz bardziéj widzi śmierć zbliska,
I więcéj czuje miłości.

Żaden jęk, skarga ust mu nie dzieli,
Modli się tylko i wzdycha,
I widzi z palmą Anioła w bieli,
Jak się do niego uśmiecha.

Wtém go ktoś w głowę rani śmietelnie;
On pada, we krwi się broczy,
Lecz jeszcze ręce przyciska szczelnie
I... jasne zamyka oczy.

Nagle tł m siła jakaś roztrąca,
Wszyscy pierzchają w nieładzie;
Jeden zwycięzcą tłumu tysiąca,
Nikt mu zapory nie kładzie.

Był to Kwadratus wojownik krzyża;
Widzi on stan Tercyzyusza,
Widzi jak pada, więc w lot się zbliża,
Chwyta go szybko i rusza.

Przebiega rączo kręte ulice,
Spiesznie jak może ucieka,
A Tercyzyusza blednieją lice,
I krew kroplami mu ścieka.

Zda się że skonał, ale powoli
Lekko się nieco uśmiecha;
Zda się, że go nic zgoła nie boli,
I mówi te słowa zcicha:

—Idę po palmę męczeństwa mego,
Idę szczęśliwy i z chwałą;
Bądź zdrów i szanuj skarbu świętego,
Gdyż niosę Najświętsze Ciało.

Umilknął, jasne oczy przybiera,
Głowę na piersi opuszcza,
Zda się, że gaśnie, że już umiera,
I że go dusza opuszcza.

Wtedy z przeciwnéj ulicy miasta,
Ztąd, kędy pierw szedł chłopczyna,

(3) Bożek pogański.

Taż sama spieszy ku nim niewiasta,
Co chciała wziąć go za syna.

Widzi na twardem żołnierza ręku
Skon dziecka, które kochała,
Więc łamiąc ręce, wśród żalu, jęku
Głośno a gorzko płakała.

— O! co za zmiana, woła żałośnie,
Niedawno tędy biegł sobie;
Już go śmierć chwyta w tak rannej wiośnie,
Za chwilę spocznie już w grobie.

Przed chwilą lica ogniem gorzały,
Teraz twarz zimna i blada;
Przed chwilką oczy życiem pałały,
Teraz wzrok gaśnie, zapada.

Młodzieniec spojrzał, westchnął i nie żył,
Na ręku zgasł Kwadratusa.
Ten wzrok matronę łaską uderzył,
Przyjęła wiarę Chrystusa!

Dobry Kwadratus męczeńskie zwłoki
W Kalixta cmentarzu chowa,
O czem mimo lat przedział głęboki,
Tablica świadczy grobowa.

O! jeśli kogo obraz ten wzruszy,
I łzę wyciśnie współczucia,
Niechaj ją otrze, niechaj wysuszy,
I zatrze smutne uczucia.

Bo dziś Tercyzyusz w Niebie króluje,
W nagrodę cierpień miłości,
Dzisiaj z Barankiem szczęścia kosztuje,
Kosztować będzie w wieczności!

Lecz jeśli kogo czułe zbyt serce,
Kto Tercyzyusza żałował,
Ten niech za jego westchnie morderce,
By im Bóg winę darował.

Maryanna Pawlukowa i jéj córka Kasia.

Obrazek z życia wiejskiego. (1)

II.

Od tego wieczora, w którym Bartłomiéj z Wojciechem postanowili wziąć na opiekę wdowę Pawlukową i jéj córkę Kasię, ubiegło lat 14. Było to jakoś na kilka tygodni po Wielkiéjnocy.

Chata Bartłomieja otoczona gruszami, różowym pokrytemi kwiatem, wyglądała pięknie. Zewnątrz ślicznie ubielona, wewnątrz zaś czysto umytemi i w porządku ustawionemi, ozdobiona była sprzętami.

Dwie kobiety zajęte przygotowaniem posiłku dla oczekiwanych gości, żwawo się krzątały i ustawiały w porządku na stole, to chleb biały, to mięsiwo, to wódkę...

— Moja kumo! rzekła wreszcie jedna, jak to Pan Bóg na tym świecie różnie różnymi, podług swej świętéj woli, kieruje ludźmi!... Ktobyto powiedział, przed kilkunastą laty, że Kasię Pawlukową takie szczęście spotka?.. Toć to jéj nie jedna w siole dziewczyna Jaśka zazdrości, bo to chłopiec dobry i rodzice bogacze.

— O! byłoby ją to szczęście nie spotkało może, odpowiedziała druga, gdyby się wychowała u swego nic dobrego ojca...

— Prawdę mówicie, rzekła znowu pierwsza, bo możeby poszła tak w poniewierkę, jak jéj brat starszy, co go to przeszłej niedzieli do kryminału wzięli...

— Ech, macie też o czem wspominać, przy dniu dzisiejszym, a nie wiecie, że to zła wróżba?

— Ach! kiedy to widzicie strasznie serce boli, gdy sobie wspomnę, jak go to związali, a przecież on mi trochę krewny, rzecze ocierając łzy rękawem.

— Ha, to i cóż, że wam krewny? odrzekła druga, kiedy nic dobrego. A toć się cale wdał w ojca, i jak nieboszczyk był ladaco, tak też i jego syn jeszcze gorszy.

— No, ale co tam o tem będziemy mówić... Oto wiecie, co ja wam lepszego powiem? zagadnęła wreszcie.

— No, co takiego?

— Oto podobno Kasia chce wziąć Bartka do siebie.

— Ech, mieliście mi także co powiedzieć nowego, kiedy ja i bez was o tem wiedziałam.

— Ale poczekajcieno, bo podobno stary nie chce.

—Ciekawam, dlaczegoby nie chciał? a jak słabość przyjdzie, to kto mu tu łyżkę wody poda? Może się teścia Kasinego boi?

— Kogo? Wojciecha?

— A jużcić.

— Ej, gdzietam. Ja na własne uszy słysza-

(1) Ciąg dalszy, patrz nr. 22 Czytelni.

łam, jak Wojciech go prosił, aby przy jego synu zamieszkał; bo to także człeczysko uczciwe. Wiecie, że matkę Kasi, starą Pawlukową z litości wziął do siebie, kąta i pomocy nie szczędząc.

— Dlaczegóżby więc Bartek nie chciał przy dzieciach Wojciecha zamieszkać?

— Bo nie chce im być ciężarem, raz mówił.

— Oj, dziwak stary, dziwak!

— To znów drugi raz mówił, że nie na to wziął Kasię na wychowanie, aby mu ona odpłaciła, ale na to, żeby mu Bóg zapłacił.

— A przecież kto drugim dobrze czyni, to i od Boga i od ludzi zapłatę brać może.

— Ha, toć toprawda, ale mnie się taki zawsze zdaje, że większa tego u Boga zasługa, któryby bez wyrachowania, i tylko z miłości ku Panu Bogu i ku ludziom, swym bliźnim, dobrze czyni, jakto Bartłomiej czyni.

— Ha, może wy macie i racyą—ale czekajcie no, bo coś mi się zdaje, że już idą.

— A idą! idą!.. zawołała druga, wyjrzawszy oknem, i daléj do roboty, do nastawiania misek, do nalewania rosołu i t. d.

Tymczasem gdy nasze kumoszki tak były zajęte, z kościoła wychodzi gromadka wieśniaków. Wszyscy w świąteczne przybrani szaty: rolnicy z bukietami u boków, druchny z mnóstwem kwiatów na głowie i wstęgami spadającemi na plecy, starostowie z rószczkami, umajonemi stokrocią i rutą, śliczny przedstawiali widok.

Pośród nich młoda niewiasta, co dopiero przysięgła Bogu, że żyć będzie z małżonkiem uczciwie i do śmierci mu wierną zostanie. To Kasia Pawlukowa. A daléj za nią młody i rzeźki chłopek—to Jaśko, syn Wojciecha, najbogatszego w siole wieśniaka.

Stary Bartłomiéj, w którego oczach błyszczały radość i szczęście, wyprzedził gromadkę i razem z Wojciechem i starą Pawlukową dążył do domu, aby gości przyjąć z chlebem i solą.

Za nimi wesoło i żwawo podążali weselni, a echo ich pieśni i skrzypcowych tonów daleko rozlegało się po wsi i polach.

Stanęli wreszcie przed chatą, a gdy druchny zanuciły znajomą pieśń:

Wyglądaż ci mnie moja matula z kościoła,
Cóż po twojem wyglądaniu, kiedy ja już
nie twoja?
Panie ojcze! wyjdźże po nas;
Jak nie wyjdziesz cóż tu po nas? (1)

(1) Z pieśni ludu.

Wtedy Wojciech, Bartłomiéj i Pawlukowa wyszedłszy z wódką, chlebem i solą, wprowadzili gości do chaty.

Tu najprzód młodzi upadli do nóg Ojcu p. młodego, i prosili o błogosławieństwo, które już raz odebrali przed ślubem, potem padli do nóg matce Kasinej, a nakoniec Bartkowi.

No to już mi teraz *tatuniu*, nie odmówicie, mówiła Kasia ze łzami, ale przystaniecie na to, że przy mnie zamieszkacie, bo i któż tu wam usłuży, albo kto dojrzy, jak się mnie pozbędziecie?— a przecież wyście mnie wychowali i szczęśliwą zrobili, a więc grzechby było, żebyście ze mnie nie mieli żadnéj w waszéj starości posługi.

— O, moje dziecko, ty masz matkę, co ci życie dała, to o niéj popamiętaj; a ja cóż tobie? ot ani ojciec, ani brat, a jeślim co zrobił dla ciebie, to każdy człowiek to czynić powinien. Będęć ja tu sam sobie, jak będzie można biedował, kiedy wola Pana Boga taka, że żona i dzieci do chwały Jego poszły.

— Dzieci wam Pan Bóg zabrał, mówiła znowu Kasia, ale mnie wam zostawił, abym was pielęgnowała w starości, jak wyście mnie pielęgnowali, kiedym była dzieckiem. Nie bójcie się, znajdzie się przy nas i dla matki i dla was kącik, i ojciec Wojciech nie będą wam go bronili.

— O, jużcić my was Bartłomieju, odezwał się wtedy Wojciech, nie zostawimy samych, ale musicie się zabierać z nami i żyć z nami. Ot gospodarkę zdamy na młodych, niech tam przy pomocy Pana Boga pracują, a my starzy, pomagając im, ile siły starczą, spokojnie wyglądać będziemy, rychło tam śmierć w oczy zajrzy.

Grube krople łez potoczyły się po licach obudwóch, uściskali się wieśniacy, i Bartłomiej przyrzekł przenieść się do domu Wojciecha.

Długo się jeszcze bawili weselni, a po skończonem weselu Bartłomiéj przeprowadził się do rodziny Wojciecha i odtąd z nią żyje spokojnie. Młody Jasiek z Kasią miłując się serdecznie, pracują i pielęgnują *Starych*. Ci zaś pomagają im to radą, to doglądaniem gospodarki, i tak cała nasza rodzina, kochając się szczerze, żyje wesoło i szczęśliwie—a ludzie widząc ją w dostatkach, mawiają sobie:

— Snać to prawda, że gdzie miłość mieszka, tam pokój i jedność, a z niemi i szczęście przebywa.

O Farbnikach czerwonych.

(Dalszy ciąg.)

—

W poprzednim artykule o farbnikach, (N. C. 7) mówiliśmy o farbie szkarłatnej, otrzymywanéj z koszenilli amerykańskiéj, czerwca polskiego i czerwca na dębie hodowanego czyli *Kermesu*—dla dokończenia o tym farbniku pozostaje nam jeszcze opisać inne barwniki czerwone z roślin otrzymywane, jakoto *lakę*, *krokosz*, *marzannę i brezylią.*

Laka niebardzo właściwie *Gumilaką* w handlu zwana, jest żywicą brunatno-czerwoną, półprzezroczystą, suchą i kruchą, która się na gałęziach niektórych roślin w kształcie komórek, w ulach pszczół będących zbiera, a w których to komórkach mieszczą się jajka owadu, zwanego *czerwcem lakowym* (Coccus lacca).

Owad ten żyje na 4 gatunkach drzew, z których jedne rosną w górzystych okolicach Indostanu i po obu brzegach rzeki Ganges, inne wprowincyi Madras, i na brzegach Koromandelskich, także w Indjach Wschodnich.

Gatunki tych drzew są:

1. *Figa święta* (Ficus religiosa) u Indyan zwana *Pipal.*
2. *Figa indyjska* (Ficus indica) od mieszkańców zwana *Bur.*
3. Drzewo zwane u krajowców *Praso.*
4. *Szakłak jujuba* (Rhamnus Jujuba) od Indyan zwane *Beyer*, albo *indyjską jabłonią.*

Wymienione powyżéj gatunki figi, gdy będą ostrym nożem rozcięte, sączą z siebie sok mleczny, klejowaty, ciągnący się, a ten skoro na powietrzu stwardnieje, tworzy komórki podobne do tych, które robi owad, zwany czerwcem lakowym. Ponieważ wspomniony owad żyje na tych gatunkach fig, a dla złożenia jajek musi pyszczkiem przecinać korę, łatwo więc może spowodować wypływanie soku, który gęstniejąc, otacza złożone w nim jajka owadu. Rozróżniają w handlu trzy gatunki laki:

1. *Laka w laseczkach*, czyli laka osadzająca się na cienkich gałązkach figowych. Jest to laka w jéj naturalnym stanie, i z niéj przerabiają się inne gatunki laki.

2. *Laka w ziarnach* pochodzi z gatunku poprzedzającego, jest tylko rozdrobniona na małe ziarnka.

3. *Laka w tabliczkach* zwana jeszcze *szelakiem*, jest to laka ziarnista na ogniu przetopiona, oczyszczona i rozlana w tabliczkowate formy. Laka rozpuszcza się w alkoholu, otrzymuje się ztąd płyn czerwony, zwany lakierem zwyczajnym. Używa się laka w Indyach do farbowania na czerwono różnych materyj, a na Wschodzie do farbowania safianów. Taż sama laka jest główną częścią składową laku do pieczętowania. Główna jednak wartość laki jest ta, że się korzystnie używa do farbowania wełny. Wprawdzie barwa z niéj pochodząca nie jest tak piękna jak z koszenilli, jednak ma tę wyższość, że jest trwalszą; doświadczenie nawet okazało, że zmieszawszy lakę w pewnym stosunku z koszenillą, otrzymamy barwę szkarłatną, która w piękności nie ustępuje saméj koszenilli, a jest od niéj trwalszą. Do farbowania bierze się zawsze lakę w ziarnach, którą jeszcze przed użyciem należy utrzeć na miałki proszek.

FARBNIK Z KROKOSZU (Carthamus tinctorius).

Krokosz, zwany także *nieprawdziwym szafranem*, jest rośliną roczną u nas uprawianą w ogrodach, a w południowej Europie obficie przy farbiarniach się hoduje. W kwiatach krokoszu znajdują się dwa farbniki, to jest żółty, w wodzie rozpuszczalny, wcale nieużywany i czerwony, ani w wodzie, ani w alkoholu nierozpuszczalny, głównie do farbowania na różne odcienia czerwone w farbiarniach się używający.

Farbnik żółty jako nieużyteczny oddziela się z Krokoszu przez proste rozpuszczenie w wodzie. W tym celu worek płócienny, napełniony kwiatem krokoszu umieszcza się w wodzie bieżącéj, ta rozpuści w sobie żółtą farbę, co poznamy po zafarbowaniu wody, gdy już więcéj woda się nie farbuje na żółto—jest to dowodem, że cały farbnik żółty już się wydzielił. Dla otrzymania zaś farbnika czerwonego, nalewa się na tak wymyty krokosz równą ilość co do wagi, sody zwyczajnéj rozpuszczonéj w wodzie, zostawia się to przez godzinę, następnie przecedza przez gęste sukno i do płynu dolewa się tyle soku cytrynowego, aż płyn stanie się cokolwiek kwaśny. Soda połączy się z kwasem cytrynowym i na dno opadnie, a w płynie powstanie farbnik czerwony, i ten zbiera się na zanurzanéj w płynie bawełnie, z któréj znowu przez wymycie się udziela.

Farbnik czerwony w bardzo małéj ilości znajduje się w krokoszu; nie będziemy się więc dziwić niezmiernéj cenie téj farby, któréj funt przeszło 360 rubli kosztuje—lecz za to małą ilością tego barwnika można znaczną ilość materyj

farbować na kolor różowy lub wiśniowy. Używają głównie barwnika krokoszu, który także farbiarze zowią *saflor*, do farbowania jedwabiu, bawełny, materyj lnianych na kolor pąsowy, wiśniowo-czerwony i różowo-czerwony.

FARBNIK Z MARZANNY.

Marzanna farbierska (Rubia tinctorum) jest rośliną trwałą, do gromady *marzanowatych* należącą: z korzenia jéj otrzymuje się farbnik czerwony, zwany *marzanną* albo z *niemieckiego Krapp*.

Dla otrzymania farbnika, wybierają się korzenie grubsze i te przez trzy lata przechowują się w ziemi—następnie po oczyszczeniu ich tak z ziemi, jako też i wierzchniéj skóreczki, suszą się na wolnem powietrzu lub na piecach, rozesłane na siatkowatém płótnie, ciągle je przewracając i zwolna uderzając, dla odłączenia od korzeni pozostałych obcych części i kory. To wszystko, co przeleci przez siatkę, stanowi gatunek marzanny, najmniejszą wartość mający. Po takiem przygotowaniu korzeni, miele się je albo w zwyczajnych młynach kamiennych, albo w stępach nożami opatrzonych, i przesiewa przez sita dla odłączenia części obcych. Powtórzywszy tę czynność trzy razy, otrzymamy najlepszy gatunek marzanny.

Do handlu przychodzi marzanna w stanie proszku, i wtenczas należy ją przechowywać w suchych naczyniach, w których tak się ubija, że ją trzeba rozdzielać ostremi narzędziami.

Marzanna farbierska rośnie dziko w południowéj Europie i Azyi, lecz głównie jako roślina farbierska hoduje się w okolicy Smyrny, na wyspie Cypr i na brzegach wschodnich morza Śródziemnego, tudzież we Francyi, Anglii, Hollandyi, Niemczech, Szwajcaryi i w niektórych okolicach Polski.

Marzanna uprawiana w Alzacyi francuzkiéj i Hollandyi, wpada nieco w szafranowo-żółtą barwę; ze Smyrny i Cypru jest brunatną, a z południowéj Francyi czerwoną. Nie jest to rzeczą obojętną, który z tych wymienionych gatunków do farbowania użyć. I tak, marzanną z Alzacyi i Holandyi pochodzącą farbuje się wełna; zaś ze Smyrny, Cypru i południowéj Francyi pochodzącéj, używa się do barwienia bawełny—dla nadania zaś pewnych odcieni kolorów, jakoto: czerwonego, wiśniowego i różowo-czerwonego wypada mieszać z sobą te różne gatunki. Ponieważ marzanna łatwo przyciąga wilgoć z powietrza, należy ją przechować w miejscu suchem, i o ile można od przystępu powietrza zasłonioném.

DRZEWO BRAZYLIOWE.

Drzewo brazyliowe tak zwane od kraju w południowéj Ameryce leżącego, pochodzi z drzewa *Caesalpinia* (Cezalpinia) zwanego. Do handlu przychodzi jeszcze pod innemi nazwiskami, i tak: *drzewo fernambukowe*, od handlowego miasta Fernambuko lub Pernambuko w Brazylii, *drzewo Śtéj Marty*, *Sapan* lub *Japan*, wreszcie pod nazwą *Brazylii*. Drzewo to jest twarde, przyjmuje piękną politurę, jest ciężkie, z wierzchu czerwone, wewnątrz po rozłupaniu bledsze, lecz na powietrzu wkrótce czerwienieje, smak ma słodkawy, zapach nieco aromatyczny. Woda wrząca wyciąga z brazylii farbnik czerwony, i dlatego odwar przybiera wnet tę barwę. Dla otrzymania tego odwaru, drzewo brazyliowe rozdziela się na drobne wiórki i gotuje się przez 3 godziny w wodzie; otrzymany odwar może już do farbowania być użyty. Farbnik ten bardzo często w farbiarniach się używa; wełna, bawełna, materye lniane farbują się nim na kolory: różowy, purpurowy, amarantowy, karmazynowy, a jedwab farbuje się nim zamiast prawdziwego karminu. U nas najpospolitsze użycie farbnika brazylii jest do farbowania na czerwono jajek na uroczystość Wielkanocną.

Podanie miejscowe

O założeniu Klasztoru Franciszkańskiego w Międzyrzeczu pod Ostrogiem na Wołyniu.

—

Było to dawno, będzie już lat z górą dwieście, mieszkał w Wołyńskiej ziemicy pan możny, ogromnych włości i mnogich dostatków, Janusz książę na Ostrogu—rycerz dzielnego ramienia w boju z nieprzyjacioły ojczyzny i Krzyża świętego, mądry w radzie senator, a przedewszystkiém mąż Ducha Bożego. Każdą czynność w swém życiu zwracał ku chwale Boskiej, miłował wielce kraj swój i bliźnich, rozdawał ubogim hojne jałmużny, budował kościoły, i wiele pełnił poczciwych uczynków.

Ulubiwszy swój mały zameczek w pobliżu Ostroga położony, *Międzyrzecz* zwany, często uchylał się od gwaru światowego, i w samotności oddawał się tu rozmyślaniom i ćwiczeniom du-

chowym. W starości, już pod koniec żywota swego przedsięwziął zbudować w tym zameczku kościół z klasztorem, aby po śmierci jego w ukochaném przezeń miejscu nie ustawała chwała Pana Boga. Lecz jakoś namyślał się długo, rozważał i dwoił się w zdaniu, jakieby zgromadzenie zakonne tu osadzić? Ogólnie szanował wszystkie zakony, wyłącznie w każdym widział zbawienne pożytki, i lubo był to człowiek wielu statecznych myśli, widno z dopuszczenia Bożego, tak mu się w tym razie chwiało zdanie, że nie mógł nic postanowić ostatecznie. Długo, długo przemyśliwał nad tém, radził się ludzi starych i uczonych, ale i te myśli i rady nie były mu gwoli i sercu; a tak chwiejąc się w postanowieniu, gorąco modlił się o natchnienie myśli dobréj, i w końcu zdał się zupełnie na wolę Bożą. Tymczasem jął budować Dom Boży, nie szczędząc nań kosztów; murował kościół z klasztorem, ozdabiał je i opatrywał potrzebym sprzętem, aż w lat kilka wszystko stanęło gotowe. Pobożny książę radował się i dziękował Bogu, iż mu przedłużył lat starych dla dokonania przedsięwziętego dzieła; wyznaczył dzień poświęcenia kościoła, na który wezwał kilku Biskupów, a księży mnogość wielką prawie ze wszystkich zakonników z Rusi, Litwy, ba nawet i Korony, po dwóch z każdego zgromadzenia. Mnóstwo zjechało się na tę uroczystość i wielkich panów świeckich i szlachty okolicznéj i ludu sielskiego. Skoro dzionek zaświtał, poczęli bić we dzwony w nowym kościele; tłumnie zebrany lud pobożny gromadził się do chwały Bożéj, a tyle go było, że się w kościele pomieścić nie mogli —uroczyście odprawiło się nabożeństwo i kościół ze wspaniałą ceremonią został poświęcony.

Po nabożeństwie fundator zastawił dla wszystkich zgromadzonych suty obiad, jakich dziś nikt nie widział i nie pamięta, a tylko mógł zasłyszeć od starych ludzi; jakto zwykle nasi dawni panowie, radzi każdej zdarzonéj zręczności, chętnie dzielili się chlebem i sercem z bliźnimi, ofiarowali gościnne przyjęcie z tak miłą szczerością, jak ich serca były bogate w gorącą bratnią miłość swojego narodu.

W dziedzińcu klasztornym na rozstawionych pod namiotami stołach zaległa mnogość różnego jadła; zamorskie wina i domowe miody i piwa lały się obficie w puhary — i nietylko panowie byli tu goszczeni, bo poczciwa starodawna gościnność o nikim nie przepominała; pan możny i zagonowy szlachcic, i kmieć, i kędyś z dalekich stron wędrowny szatnik, i nędzny żebrak byli goszczeni, częstowani, a ubodzy na drogę jeszcze dostali opatrzenie. Nawet o czeladzi i koniach gości nie przepominano, bo już to był taki obyczaj u staroświeckich panów, że chleba i soli, a dobrego słowa nikomu nie skąpili. I Bóg im błogosławił i byli bardzo bogaci, choć tak hojni; nawet powiadają, że ziemia wówczas lepiéj rodziła — o takich urodzajach dziś ani zasłyszeć, i nietylko swój, ale jeszcze i zamorskie narody żywiła. Snać to już Bóg dla naszéj ziemi i naszego narodu przeznaczył poczciwą gościnność, boć gdy ta wraz z miłością bliźniego ostygać poczęła, i ziemia przestała wydawać obfite plony, i ludzie podupadli i zubożeli.

Taką to ucztą hojną i serdeczną podejmował książe Janusz Ostrogski, zgromadzonych ludzi na poświęcenie kościoła w Międzyrzeczu.

Po solennych nieszporach, goście jęli się rozjeżdżać, a księża, zakonnicy parami według swych reguł rozeszli się po celach klasztoru na spoczynek. Fundator nie mając jeszcze ustalonego zdania w wyborze zakonników, zawsze trapiony tą myślą, późną nocą udał się do klasztoru, modlił się, chcąc szukać ostatecznéj porady u którego z ojców zakonnych, ale wszyscy już spali. Nakoniec wszedł do ostatniéj celi; tu zastał dwóch Franciszkanów klęczących przed krucyfiksem, i gorąco się modlących. Książe Janusz padł na kolana: Wola Boża, objawioną mi została, zawołał. Ci, co chwalą Boga, gdy inni spoczywają, powinni zostać w tym klasztorze na Jego chwałę, a ludziom na zbawienny pożytek; i gdy ja legnę do wiecznego spoczynku, aby się modlili za grzeszną duszę moję.

Franciszkanie objęli nowy klasztor, i od téj pory aż dotąd ich następcy chwalą w nim Boga—Bóg pobłogosławił Dom chwały swojéj przez pośrednictwo łaskami słynącéj w tym kościele Boga-Rodzicy, i dotąd za przyczyną Najświętszéj Panny uciekającym się do niéj zsyła liczne dobrodziejstwa.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować Warszawa d. 22 maja (3 czerwca) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*